

Ludka Skrzydlewska
Magdalena Szponar

THE ASMR

Arrogant

Sexy

Messy

⚡⚡⚡
Roommate

edito
Rep



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Projekt okładki: Justyna Knapik

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: editio.pl (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

editio.pl/user/opinie/theasm

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-2808-4

Copyright © Helion S.A. 2025

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność



Rozdział 1.

Parker

– Ach! – Biorę głęboki wdech i się uśmiecham.

– Ty nie jesteś normalna – słyszę Jordie i zerkam na nią z ukosa. Krzywi się, jakby ktoś wlał jej do ukochanej czarnej kawy mleka, i to jeszcze zsiadłego.

– Zapach jesieni, nie czujesz?

– Masz na myśli smród zbutwiałych liści z rynsztoka? Tę trupią woń odchodzącego lata?

– Właśnie to. – Szczerzę się jak idiotka, na co Jordan przewraca oczami.

Ona chyba nadal nie rozumie, dlaczego przyjechałam do tego miasta. Serio. Syracuse w stanie Nowy Jork jest jedynym miejscem na ziemi, które oferuje aż sto siedemdziesiąt dwa (tak, sprawdziłam to) deszczowe dni (no, statystycznie, oczywiście), smutną aurę i do tego aż trzynaście (idealna liczba) cmentarzy do zwiedzania (uwielbiam spacerować między grobami).

Poza tym urodził się tutaj Tom Cruise. To wystarczy, by kochać to miasto całym sercem.

Być może szukam wymówek, które tłumaczyłyby, dlaczego studiowałam właśnie na Cuse. Bo przecież wcale nie chodzi o to, że tę uczelnię wybrała mi moja matka.

Nie, absolutnie.

Deborah – mimo że jest świrniętą metodystką – z pewnością nie zmanipulowałaby swojej córki na tyle, by ta ostatecznie wylądowała na prywatnym Uniwersytecie Syracuse, tylko dlatego że ów uniwersytet ma korzenie w Kościele Metodystyczno-Episkopalnym.

A gdzie tam.

Sama chciałam tu studiować. Spodobało mi się, że absolwentem tej szkoły jest Joe Biden.

Tyle.

W całej tej sytuacji dopatruję się jednak pewnych plusów. Na studiach poznałam Jordie i trafiłyśmy do jednego pokoju w akademiku (zaraz po tym, jak sprzeciwiłam się matce, kiedy chciała, bym zamieszkała w Sheratonie, którego Cuse jest właścicielem i który mieści się na terenie kampusu).

Przyjaźń przetrwała lata nauki. A teraz od jakiegoś tygodnia jesteśmy współlokatorkami w ślicznym dwupiętrowym domku na Palmer Ave. Znaczący... będziemy, kiedy Jordie w końcu podpisze umowę. Ja swoją podpisałam już dawno, bo, serio, ten domek to spełnienie moich marzeń. Jest stary, ale dzięki temu cudownie klimatyczny, z podmurówką z kamienia i czerwoną elewacją z desek. Okiennice są białe i urocze, podobnie jak schodki prowadzące na werandę. Z lewej strony znajduje się wejście do mojej części na parterze, a z prawej schody do mieszkania Jordie, która wołała piętro. Zgodziłam się na taki podział bez mrugnięcia okiem, gdy tylko zobaczyłam wnętrze.

Jest piękne. Idealne.

Na parterze wszędzie wyłożono dębowy parkiet, który skrzypi w taki komfortowy, wywołujący ciarki sposób. Do tego jasne ściany i sufity zdobione ciemnymi belkami, a także dodatkowy pokój, w którym mogę urządzić swoje studio. Klimatyczna kuchnia cała w beżach i podobnie urządzona łazienka również wpadły mi w oko, ale tym, co pokochałam od pierwszego wejrzenia, był... kominek.

Pieprzony kominek.

Taki prawdziwy. Na drewno.

Kocham to miejsce.

Nie mogę się doczekać, aż się tu wprowadzimy.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Jordie nagle zmienia temat, a ton jej głosu sprawia, że momentalnie stoję w miejscu, dosłownie na środku ulicy.

Ktoś trąbi i wyzywa mnie od idiotek, ale nic sobie z tego nie robię, bo Jordan ma TĘ minę.

– W skali od *ups* do *fuck* jak źle jest? – pytam, podczas gdy przyjaciółka siłą ściąga mnie na chodnik.

To nasza skala tarapatów. Stworzyłyśmy ją na pierwszym roku studiów i dzięki niej uniknęłyśmy wielu przypałów.

Ups jest do ogarnięcia. To coś w stylu „zabrakło twojego mleka, Parker, bo nakarmiłam bezdomne koty”. Natomiast *fuck*... *Fuck* oznacza, że się wkurzę, bo Jordie prawdopodobnie odwalila coś, przez co (znowu) będę miała ochotę ją zamordować. Teraz przynajmniej mam miejsce, by ją zakopać. Nasz nowy piękny ogródek.

– Podwójne *fuck*.

Zagryzam wargi, by nie puścić wiązanek przekleństw.

Patrzę na moją przyjaciółkę, a ona wpatruje się we mnie niebieskimi oczami szczeniaczka, który pogryzł kanapę. Po sekundzie zakłada za ucho swoje jasne włosy i już wiem, że sprawa jest naprawdę poważna – Jordie robi to tylko wtedy, kiedy jest na moment przed wybuchem płaczu.

Marszczę brwi, analizując w myślach wydarzenia z ostatnich dwudziestu czterech godzin. Kiedy wczoraj rozstawaliśmy się po odebraniu dyplomów (chyba jako jedyne studentki z tej okazji nie zachlałyśmy się na umór), Lane wydawała się normalna... O ile ktoś tak potwornie wesoły, sympatyczny i wiecznie uśmiechnięty jest jednocześnie normalny.

Zmiana nastąpiła później...

W zasadzie to dzisiaj rano, gdy Jordan Lane nie zareagowała na wysłanego przeze mnie GIF-a z Danem Raynoldsem.

Mogłam się domyślić.

– Co zrobiłaś? – pytam złowieszczo spokojnie, podczas gdy po policzku Jordan ścieka pierwsza łza.

– J-ja... – duka. – Wiesz, że o tym marzyłam, tak? Mam prawo do spełniania marzeń!

Oho, jest gorzej, niż myślałam, bo Jordie chyba nigdy nie próbowała wzbudzać we mnie poczucia winy. Tym bardziej w sytuacji, w której nie wiedziałam, o co jej tak właściwie chodzi.

– Dostałam się na staż... – wyrzuca nagle.

Okej. To dobrze. Marzyła o stażu doktoranckim najbardziej na świecie. Świetnie, że udało jej się to już na pierwszym roku.

– Na Harvardzie.

Czuję, jak moje serce omija jedno lub dwa uderzenia.

Harvard, huczy mi w głowie.

– Od kiedy wiesz? – dopytuję beznamiętnie. Jestem totalnie opamnowana, choć w środku chcę krzyczeć.

Na policzku Jordie widzę kolejną łzę. W dodatku wypełza tam rumieniec, więc już wiem, że kolejna odpowiedź również mi się nie spodoba. W innym wypadku Lane by się nie zawstydydziła.

– Od tygodnia.

Aha.

Spoglądam w kierunku domu. Dzieli nas od niego raptem kilkadziesiąt kroków, a wydaje mi się, jakby znajdował się na końcu ulicy. Klucze, którymi bawiłam się w dłoniach przez całą drogę, nagle robią się niesamowicie ciężkie.

Harvard.

Cholera.

Myśli pędzą mi w głowie z prędkością samolotu, który zabrałby mnie do Jordie, gdybym zechciała ją odwiedzić w pieprzonym Cambridge. Wiem, że taki lot trwałby trochę ponad godzinę.

Niby niewiele, ale...

Podczas gdy Jordan wpatruje się we mnie oczami pełnymi łez, ja robię szybki rachunek sumienia.

W zasadzie nic mnie tutaj nie trzyma. Mogę urządzić studio w każdym miejscu na świecie, nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Może więc...

– Poleć z tobą – mówię, zanim zdążę to dobrze przemyśleć.

Lane przechyliła lekko głowę, wzdycha cicho, a między jej brwiami tworzy się bruzda.

– Skarbie, kochasz to miasto.

Przytakuję.

– Mogę pokochać inne.

– A Jeremiah?

Cholera.

Wypuszczam głośno powietrze i zaczynam mrugać nieco szybciej, bo nagle i moje oczy zrobiły się mokre.

Jordie ma rację, nie mogę zostawić mojego brata na łasce tej psychopotaki. Znaczący... mojej rodzicielki. W sumie to bez różnicy.

Lane łagodnie łapie moją rękę, a potem nieśmiało oplata mnie drobnymi ramionami. Biorę drżący wdech, zaczynając powoli rozumieć sytuację.

– To dlatego nie podpisałaś umowy najmu – szepczę. Teraz to staje się oczywiste.

– Tak – odpowiada ostrożnie. – Nie wiedziałam, czy to pewne, nie chciałam niepotrzebnie cię martwić. Czekalam na ostateczne potwierdzenie, a potem ty tak bardzo cieszyłaś się tym domem, że nie miałam serca, i...

– Przestań – mówię cicho, pociągając nosem. – Jest okej.

Odsuwam się na krok i nawet silę się na niepewny uśmiech.

Co ze mnie za przyjaciółka, myślę, widząc, jak bardzo Jordan to przeżywa.

– Harvard, co? – Uśmiecham się szerzej, przez co w końcu i jej kąciuki ust wędrują w górę.

W następnej sekundzie zaczyna pisać i skakać, przez co zwraca na nas uwagę wszystkich przechodniów. Kiedy w końcu się uspokaja, mówię:

– Gratuluję, słoneczko. Zasłużyłaś na to.

Jordan posyła mi piękny uśmiech, na co nie potrafię nie zareagować. Tym razem to ja obejmuję ją i robię to tak mocno, jakby to miał być nasz ostatni raz.

– Kiedy wylatujesz? – pytam, gdy chwilę później ruszamy już w kierunku domku.

Nie odpowiada od razu, czym zmusza mnie, bym na nią zerknęła.

– Potrójny *fuck*, Parker – mamrocze. – Muszę polecić tam za tydzień, by wszystko dopiąć, przedstawić im dokładną prezentację moich planów badawczych, znaleźć mieszkanie...

Wzdycham, a wtedy Jordan milknie.

– No, rozchmurz się – mówi po dłuższej chwili. – Na tę okazję kupiłam to twoje ukochane świństwo. – Zapewne ma na myśli whisky. – Usiądziemy na tym zajebistym bukowym parkiecie – jest dębowy, na litość boską – i włączymy to twoje skrobanie książek.

Chryste.

– Nie skrobanie, Lane – sapię. – *Tapping and scratching* – poprawiam ją i widzę, jak zaciska wargi, próbując zachować powagę.

– I *spanking* – dodaje. – Tak, jasne, każdy lubi co innego.

– Kiedyś cię uduszę, wiesz? – Mrużę oczy, a Jordie wybucha tak beztroskim śmiechem, że aż piszczy mi w uszach.

Czasami jej nienawidzę.

W tym czasie docieramy przed budynek. Mimowolnie słucham jej pełnego ekscytacji świergotania o jakichś atomach – serio, kompletnie nie rozumiem, o czym ona będzie pisać ten doktorat – i wkładam klucz w zamek. Kiedy go przekręcam, dobiega mnie przyjemne kliknięcie, a wraz z nim pojawia się poczucie, że trafiłam do domu.

Przepuszczam Lane przodem i z pewnym smutkiem zerkam na schody prowadzące do drzwi na piętrze, zanim zamknę za nami te prowadzące do mojej części.

Nie będziemy współlokatorkami. A w zasadzie sąsiadkami. Zwał jak zwał.

Właśnie kończy się w moim życiu pewna era i jest to cholernie smutne.

Lane była w nim zawsze. Znaczący... dobra, była w nim, odkąd rozpoczęliśmy studia, ale mam wrażenie, że to właśnie wtedy zaczęłam żyć – gdy wyrwałam się spod jarzma matki (ona lubiła powtarzać, że to „opieka”, ale wyraźnie dostrzegałam różnicę). Nigdy nie zapomnę tych wspólnie spędzonych lat, a Jordan... Prawda jest taka, że mam tylko ją.

– Słuchasz mnie? – odzywa się nagle, a ja dość niechętnie odwracam się w jej kierunku i obrzucam spojrzaniem korytarz, w którym się znajdujemy.

Pięknie tu.

Szkoda, że tak samotnie.

– A skończyłaś napieprzać o atomach? – pytam.

– Nie.

– To, cóż, nie... Nie słucham.

Jordie trzepie mnie w ramię. Chyba myślała, że żartuję.

– Chodź, wypijemy to rude świństwo. Musimy jakoś uczcić to, że dostałam się na studia doktoranckie i wymarzony staż!

Końcówka jej wypowiedzi płynie gdzieś między murami, bo Lane zdążyła ruszyć już w głąb domu. Mimo to słyszę ją wyraźnie, bo to miejsce ma niesamowitą akustykę. I tak, to również spowodowało, że w mig je pokochałam. Mam bzika na punkcie dźwięków.

Docieram w końcu do salonu – kompletnie pustego – i... nagle to do mnie dociera! (Tak, zbieżność słów zamierzona).

– Lane?! – wołam ją, na co wychyla się z kuchni.

– Musimy pić z gwinta – odzywa się. – Nie ma tu nawet połowy słoika, o szklankach nie wspominając.

Dopiero kiedy spogląda na mnie, wróciwszy do pokoju, dostrzega, że coś jest nie tak. Prawdopodobnie chodzi o panikę wypisaną na mojej twarzy.

– Co się stało?

– Jordie, nie stać mnie na wynajęcie całego domu, a nie chcę... Boże – jęczę, chowając twarz w dłoniach, a zaraz potem siadam ze zrezygnowaniem na gołych deskach. – A co, jeśli właściciel wynajmie górę jakiemuś patologicznemu miłośnikowi hałasu?!

– Dlaczego zakładasz, że byłby to facet? – pyta. I to chyba na poważnie.

– Bo oni hałasują, Lane! – warczę. – Nie ma głośniejszych istot na tym świecie!

– Chyba przesadzasz... – zaczyna, ale urywa, ujrawszy moją minę. – Parker, przypominam ci, że faceci czasami się przydają.

– Tak! Jednorazowo!

Jordan kręci głową, jakby nie wierzyła w moją głupotę. Jednak długo nie odpowiada, a znamy się na tyle dobrze, że wiem, co to oznacza.

To nie koniec.

Ta wstrętna zołza ukryła przede mną coś jeszcze.

– *Ups czy fuck?* – cedzę przez zęby.

– Ani to, ani to. – Patrzy wszędzie, tylko nie na mnie. – To...
dobra wiadomość, Parker.

– Zdefiniuj „dobra”.

– Znalazłam ci kogoś, kto wynajmie górę...

– Chyba.

– ...i to naprawdę bezkonfliktowa osoba.

– Sobie.

– Serio, sam urok. Znamy się z dzieciństwa, jak jeszcze mieszkałam w...

– Żartujesz! – wydieram się, a Jordie natychmiast milknie.

– Czasami jesteś niemiła – mamrocze po chwili. – Chciałam pomóc! Wiem, że nie stać cię na cały dom. Poza tym... co ty byś tutaj robiła całkiem sama? A Cameron to naprawdę...

Unoszę palec, czym nakazuję Jordan zamilknąć. Dobrze wie, co oznacza ten gest. Nazywa go palcem zagłady.

Cameron. Świetnie. Moja przyjaciółka wprowadziła mi tutaj jakąś obcą łaskę.

Po prostu cudownie.

– Mam nadzieję – syczę – że nie będzie hałasować. Bo jeśli tak, to uwierz mi, Jordan Hope Lane, że przyjadę do tego twojego Harvardu i znajdę cię w najciemniejszej dziurze, a potem rozłożę każdy z twoich atomów na cząstki...

– W zasadzie to niemo... – przerywa mi, ale gdy unoszę ostrzegawczo brew, zaciska zęby. Następnie przełyka z trudem ślinę i mówi cicho: – Spokojnie... Cameron z pewnością nie będzie ci przeszkadzać.

Mrużę oczy.

Za nic jej nie wierzę.

Tym bardziej kiedy widzę jej rozbiegany wzrok, zaczerwienione policzki i minę winowajcy.

– Jak ona się nazywa? – pytam niskim głosem.

– Jaka ona? – Lane marszczy brwi, co nawet uznałabym za urocze, gdyby mnie tak nie zdenerwowała.

– Ta cała Cameron...

Jordie otwiera usta, ale po chwili bez słowa je zamyka. Wzdycha, przechyla głowę i zaczyna nią kręcić. Śmieje się przy tym tak, jakby właśnie dotarło do niej, że ma do czynienia z socjopatką.

Nie lubię ludzi.

I nic na to nie poradzę.

– Cameron Payne. Tak się nazywa – słyszę w końcu. – I zobaczysz, zaprzyjaźnicie się. Jestem tego pewna.

Ta.



Rozdział 2.

Parker

Ogarnę to. Totalnie. Podążanie za instrukcjami to nic skomplikowanego, prawda?

Wkładam ciasto do piekarnika i właśnie wtedy orientuję się, że zapomniałam go wcześniej nagrzać. Trudno, to chyba bez różnicy, no nie? Po prostu ustawię timer na parę minut dłużej, doliczając czas na rozgrzanie, a mój przysmak pięknie się upieczce. Jordan i Cameron popłaczą się z radości, że przyrządziłam dla nich coś tak cudownego, i wszyscy będą zadowoleni.

To się musi udać. Nie ma innej opcji.

W domu próbowałam kilka razy piec ciasto, ale po zakalcach, jakie mi wychodziły, wszyscy dostawali rozstroju żołądka, więc matka w końcu zabroniła mi wchodzić do kuchni. Ale teraz jestem na swoim, utrzymuję się sama i nikt nie stoi mi nad głową, jęcząc, że odmierzyłam za dużo mąki, więc niczym się nie stresuję. Na pewno się uda. To ciasto będzie tak zajebiste, że Cameron z miejsca zadeklaruje swoją dozonną przyjaźń, a Jordan zacznie żałować, że przyjęła ten głupi staż na Harvardzie.

Tylko najpierw muszę poczekać czterdzieści minut. Kupa czasu.

Mam wprowadzić do dokończenia ostatni audiobook, który nagrywam dla pewnej niezależnej autorki romansów, ale potrzebowałabym więcej czasu, żeby się do tego przygotować i wprawić się w odpowiedni

nastrój. Ledwie wczoraj skończyłam urządzać mój pokój nagrań i nie mogę się doczekać, aż zacznę z niego korzystać. Mój ASMR-owy kanał cierpi na brak nowego contentu i przynajmniej część z moich dwustu trzydziestu ośmiu subskrybentów prosi o kolejne nagrania.

Teraz jednak mam tylko czterdzieści minut, więc robię krótki spacer po moich nowych włościach, ponownie zachwycając się każdym detalem drewnianej podłogi, stolarki i wykończenia kominka. Podoba mi się tutaj każdy kąt i każda krzywa deska, która skrzypi, gdy się na nią nadepnie. Jestem zachwycona tym domem i chociaż przykro mi, że Jordie nie będzie mieszkała ze mną, cieszę się, że wyperswadowała mi pomysł wspólnej przeprowadzki do Cambridge. Tęskniłabym za tym miejscem, chociaż dopiero co się tu wprowadziłam.

Z góry dobiega mnie jakieś dziwne szuranie, zerkam więc na ulicę przed domem, gdzie między zabarwionymi na złoto i brązowo okolicznymi drzewami dostrzegam furgonetkę firmy przeprowadzkowej. To chyba oznacza, że moja nowa współlokatorka dotarła na miejsce. Zapewne właśnie ktoś pomaga jej wnosić meble i stąd to...

Ł U U U P .

Podskakuję, zaskoczona tym nagłym hałasem tuż nad moją głową. Odruchowo zerkam na sufit, obawiając się, że zobaczę tam dziurę. Nic takiego jednak nie ma miejsca, a pokrywające go belki pozostają bez skazy.

Na szczęście.

Kręcę głową i przechodzę do salonu, chociaż z góry dochodzą kolejne hałasy. Postanawiam jednak znieść to z godnością i w milczeniu, bo przecież tak to bywa przy przeprowadzkach. Może Cameron ma fortepian (*Jeżu, oby nie*) i wnoszenie go jest kłopotliwe dla tragarzy? Może to koneserka wyjątkowo ciężkich, żelaznych rzeźb, które łatwo wyslizgują się z rąk i upadają na podłogę, nie robiąc przy tym dziur? Może. Wszystko jest możliwe.

Wcale nie chcę poznawać Cameron – zawieranie nowych znajomości przychodzi mi z trudem i robię to bardzo niechętnie. Gdyby nie fakt, że Jordie sama wepchnęła się do mojego życia, gdy poznałyśmy się na studiach, z nią pewnie też bym się nie zaprzyjaźniła. Ale zrobiłam

to i teraz trochę żałuję, bo za chwilę ją stracę i będę tęsknić jak szalona. To jednak nie oznacza, że zamierzam zostać najlepszą psiapsi jakiejś jej znajomej z dzieciństwa.

Byłoby jednak dobrze żyć w zgodzie. Tak żebym przynajmniej była w stanie nagrywać i żeby ktoś znalazł moje zwłoki, zanim się rozłożą, gdybym kiedyś poślizgnęła się w wannie i skrzyła kark.

Siadam w fotelu i wyciągam słuchawki, żeby puścić sobie coś z YouTube'a, bo nie mogę dłużej słuchać tych hałasów dobiegających z piętra. Już widzę oczami duszy uszkodzone drewno i moje serce od tego krwawi. Włączam jeden z moich ulubionych ASMR-owych filmików – dużo stukania i drapania, moich ulubionych dźwięków – po czym zakładam słuchawki, pogłaśniam do maksimum i przenoszę się do swojego świata.

A ponieważ te dźwięki często działają niesamowicie uspokajająco, już po chwili śpię jak suseł.



Właściwie nie wiem, co wyrywa mnie ze snu. Nagranie nadal leci w słuchawkach, kiedy ktoś potrząsa mnie za ramię, ktoś inny chyba krzyczy, a w tle słyszę jakieś dziwne dźwięki. Powolnymi ruchami sięgam do telefonu i wyłączam ASMR. Moje guzdranie się chyba wkurza Jordie, która stoi mi nad głową i coś do mnie wrzeszczy.

Dopiero po chwili dociera do mnie sens jej słów.

– Czyś ty całkiem oszalała?!

Obok niej przemyka ktoś jeszcze i jestem tak zaskoczona obecnością trzeciej osoby w moim salonie, że przez moment nie potrafię odpowiedzieć. Ten ktoś biegnie do kuchni, z której dobiega ten dziwny przeraźliwy dźwięk i buchają kłęby czarnego dymu. Ups.

Nie miałam racji z tymi rozkładającymi się zwłokami. Najwyraźniej niewiele brakowało, żebym się skremowała!

Podrywam się z fotela, gubiąc przy tym słuchawki, i gnam do kuchni. Staję jak wryta w wejściu, a Jordie obija się o moje plecy. Nie zwracam na to szczególnej uwagi, zaskoczona widokiem, jaki mam przed oczami.

W mojej kuchni jest jakiś obcy facet.

Obcy facet, który wyjmuje właśnie zwęglone resztki mojego pysznego (bo takie zapewne by było) ciasta czekoladowego i wrzuca je prosto do kosza na śmieci, a następnie podbiega do okna, żeby je otworzyć i przewietrzyć wnętrze, w którym śmierdzi spalenizną.

Obcy facet, który wygląda jak kulturysta.

Serio. Ma na sobie najbardziej opinającą czarną koszulkę, jaką w życiu widziałam. Taką, której włókna aż piszczą z wysiłku, próbując nie rozerwać się pod naporem mięśni. Do kompletu włożył krótkie spodenki odsłaniające jego umięśnione, opalone nogi. Gość ma taki kolor skóry, jaki ja mogłabym nabyć jedynie dzięki opalaniu natryskowemu albo kompulsywnemu smarowaniu się samoopalaczem. Jego to złocisty brąz, mój – trupia biel.

Powoli unoszę spojrzenie, aż docieram w końcu do twarzy. I to naprawdę niesprawiedliwe, że ten facet oprócz takiego ciała – *wspominałam już o mięśniach? I imponującym wzroście?* – jest też tak przystojny w totalnie męski sposób. Ma ostro zarysowaną szczękę, pokrytą kilkudniowym zarostem, najbardziej niebieskie oczy, jakie w życiu widziałam, i krótkie, nieco rozczochrane, brązowe włosy. Wygląda na osiłka, który spędza pół dnia na siłowni, drugie pół przed lustrem i nigdy nie miał w ręce książki.

Teraz jednak wygląda również na naprawdę wkurzonego.

Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że on nie ma żadnego powodu, by tak się czuć. Kto to niby ma być, strażak po służbie? Niby skąd w mojej kuchni wziął się jakiś obcy mężczyzna, który uznał za stosowne grzebać mi w piekarniku, wyrzucać moje ciasto i otwierać okno? Niby rozumiem, że zrobił to z dobrych pobudek, ale... kim jest i skąd się tu wziął, na litość boską?

– Wszystko w porządku? – pyta mnie zatroskana Jordie.

Facet wbija w nas pełen wściekłości wzrok.

– Byłoby, gdyby ta idiotka nie usnęła przy robieniu... cokolwiek tam robiła – oznajmia niskim, głębokim, seksownym głosem, wskazując

palcem najpierw na mnie, a potem na piekarnik. Mój zaspany, omamiony męskim urokiem tego faceta umysł dopiero po chwili ogarnia, że on chyba próbuje mnie obrazić. – Naprawdę nie słyszałaś alarmu?!

Posyłam mu nieżyczliwe spojrzenie.

– Oczywiście, że słyszałam – oznajmiam z przekąsem. – Po prostu chciałam spalić ten dom do gołej ziemi.

Koleś mruczy pod nosem coś, co brzmi jak „wariatka”, po czym zwraca się do Jordie, wskazując na mnie oskarżycielskim gestem.

– To jest Parker? *N i e w i e r z ę*, że mi to zrobiłaś, Jordie.

Moja przyjaciółka wygląda na zakłopotaną. Przez chwilę nie ogarniam, o co mu chodzi, aż nagle zrozumienie uderza we mnie z siłą rozpędzonej ciężarówki. To sprawia, że bardzo powoli odwracam głowę w kierunku faceta, a potem z powrotem zerkam na Jordie.

Wygląda tak, jakby chciała się schować w mysiej norze. Szkoda, że żadnej tu nie ma.

Natychmiast przypominam sobie, jak na któryś przedmiot na studiach robiłam prezentację o metodach tortur w średniowieczu (bo dlaczego nie? To ciekawy temat i nigdy nie zrozumiałam, dlaczego niektórzy po tych zajęciach patrzyli na mnie z obawą). Żelazna dziewica. Rozrywanie końmi (to zwłaszcza mi się spodobało, bo lubię konie). Gotowanie żywcem we wrzątku. Łamanie kołem. Kołyska Judasza. Zgniatacz kciuków. Szczurza tortura.

Którą mogłabym zastosować wobec Jordie?

– Potrójny *fuck* – mówi moja przyjaciółka, uprzedzając pytanie. – Miało mnie tu już nie być, kiedy się poznać.

Aha.

– Myślałam, że Cameron to dziewczyna – oznajmiam oskarżycielskim tonem w tym samym momencie, w którym ten napakowany gość mówi:

– Myślałem, że Parker to facet!

Sztyletujemy się przez chwilę spojrzeniami, ale kiedy Jordie próbuje wykorzystać tę chwilę i uciec, osilek łapie ją za kołnierz, jakby była niesfornym dzieciakiem. Przytrzymuje ją w miejscu, a moja przyjaciółka przeskakuje wzrokiem ode mnie do niego i z powrotem.

– Słuchamy – grzmi Cameron, a mnie przechodzą ciarki.

Dlaczego ktoś taki jak on ma taki głos? Przecież byłby idealny do nagrywania audiobooków romansów i erotyków, tylko że zapewne nie przeczytał w życiu ani jednej książki!

No dobra, może jestem niesprawiedliwa. Może oceniam ludzi po pozorach. Ale żeby mieć takie ciało, musi spędzać pół życia na siłowni, więc wątpię, że ma czas na inne rozwijające aktywności.

– To nie moja wina, że nabraliście jakichś błędnych przekonań – odżegnuje się Jordie.

Mrużę oczy ze złości.

– Przecież wiesz, że myślałam, że Cameron to dziewczyna. Nie sprostowałaś tego, chociaż mogłaś.

Jordie uśmiecha się niepewnie.

– A jaka byłaby w tym zabawa?

– I to z powodu tej zabawy chciałaś wyjechać, zanim się poznamy? – Krzywię się. – Jezu, Jordie, co jest z tobą nie tak?

– Gdybym wiedział, że będę mieszkał pod jednym dachem z podpalaczką, w życiu nie podpisałbym umowy najmu – warczy tymczasem mój, jak się okazuje, sąsiad z góry. – Coś ty sobie myślała?! – podnosi głos.

Po prostu bosko. Na pewno będzie cichy jak myszka!

– Rany, przestańcie już tak na mnie naskakiwać! – broni się Jordie, unosząc równocześnie dłonie w geście poddania. – To nie tak, że cokolwiek sobie myślałam!

– Nie jestem podpalaczką – mówię ze złością do typu, po czym kolejne słowa kieruję do przyjaciółki: – A dla ciebie stan niemyślenia to coś całkowicie naturalnego, ale mogłabyś czasami zmusić się do tego wysiłku!

– Dobra, CISZA! – drze się Jordie. Gapię się ze zdumieniem na przyjaciółkę, a fan siłowni naprzeciwko mnie aż rozchyła usta, pewnie niedowierzając, że drobne ciało Lane jest w stanie wyciągnąć aż tyle decybeli. – Przepraszam was, okej? Potrójny *fuck*. Zjebałam, bo nie powiedziałam prawdy tobie, Parker, ani tobie, Cam. A najbardziej zjebałam, że nie udało mi się wyjechać, zanim się zorientowaliście.

No jasne.

– Myślisz, że gdybyś zdążyła wyjechać, nie poleciałabym za tobą do Cambridge? – pytam z opanowaniem.

Jordie wytrzeszcza na mnie oczy i się wzdyga. Fan siłowni za jej plecami odruchowo cofa się o krok.

– Czy myślisz teraz o swojej prezentacji na temat średniowiecznych narzędzi tortur? – Jordie strzela w dziesiątkę.

Robię zadowoloną minę.

– Jak ty mnie dobrze znasz. Musisz być moją prawdziwą przyjaciółką. Chociaż możliwe, że już niedługo.

W kuchni na chwilę zapada cisza. Odkasłuję, chociaż większość dymu zdążyła się już ulotnić przez otwarte okno. Moje ciasto chyba jednak nie będzie się nadawało na pożegnanie Jordie...

Zresztą teraz mam ochotę nakarmić ją co najwyżej arsenikiem. Ewentualnie cykutą.

Albo jeszcze...

– Dobra, może rzeczywiście nie powinnam była załatwiać tej sprawy w taki sposób – mówi pojednawczym tonem Jordie, a facet mruczy pod nosem „no coś ty”. Ja sama tylko się wykrzywiam. – Ale wiedziałam, że inaczej mielibyście mnóstwo wątpliwości, czy to dobry pomysł, i prawdopodobnie byście się nie zgodzili. Ja natomiast uważam, że na dłuższą metę to – wskazuje to na mnie, to na tego faceta – się sprawdzi.

Oboje posyłamy jej sceptyczne spojrzenia. Proszę, jacy jesteśmy zgodni. Może jednak Jordie ma rację.

– Parker – dodaje, chwytając mnie za ramię – potrzebuje kogoś zaufanego, kto zamieszka na górze i nie będzie jej robił problemów. A Cameron – kontynuuje, dotykając z kolei jego ręki – dopiero przeprowadził się do Syracuse i potrzebował na szybko jakiegoś lokum, a to jest naprawdę niezłe. Umowa najmu jest zawarta tylko na trzy miesiące. Jeśli nie będziecie chcieli jej przedłużyć, nikt was do tego nie zmusi. Nawet ja.

Śmieje się, ale jest jedyna, bo ja i fan siłowni nadal patrzymy na siebie spod byka. Cameron nie wygląda na bezproblemowego współlokatora; z drugiej strony jestem przekonana, że w tej chwili on to

samo myśli o mnie. W końcu o mało nie spaliłam kuchni, a gdyby naprawdę doszło do pożaru, mogłyby się zająć także piętro.

– Właściwie w ogóle nie musicie się widywać – stwierdza tymczasem Jordie z tym sztucznym entuzjazmem w głosie. – Macie osobne wejścia, osobne kuchnie i łazienki. Jedyne, co was łączy, to wspólna pralnia na dole, ale powiedzmy sobie szczerze: jak często będziecie pracować rzeczy? Możecie nawet ustalić jakiś grafik, żeby się nie widywać. To naprawdę idealne rozwiązanie.

Robi mi się trochę przykro, gdy słyszę, jak o tym opowiada. Gdy wyjedzie, znowu zostanę sama. Lubię spędzać czas tylko ze sobą, ale to nie oznacza, że nigdy nie doskwiera mi samotność. Oczywiście, że bywam samotna. A za chwilę będę jeszcze bardziej.

W końcu to mój nowy współlokator pierwszy przerywa ciszę.

– Gdybym miał inne wyjście, wyprowadziłbym się choćby po to, żeby ci zrobić na złość, Jordie – oznajmia, po czym wyciąga w moim kierunku rękę. – Ale już na to za późno. Jestem Cameron Payne. Na co dzień, gdy nikt nie próbuje mnie okłamać ani puścić z dymem mojego domu, całkiem sympatyczny ze mnie facet.

Jasne.

Podaję mu dłoń, obawiając się, że gdy ją ściśnie, połamię mi kości. Jego dotyk jest jednak łagodny, choć stanowczy, ciepły i w jakiś dziwny, pokręcony sposób przyjemny. Czym prędzej wyszarpuję rękę.

– Parker Coldman – przedstawiam się.

– Rodzice chcieli syna, że skrzywdzili cię takim imieniem? – Usta Camerona wykrzywiają się w złośliwym uśmiechu.

Cofam się o krok, udając, że to pytanie wcale mnie nie obeszło. Bo jasne, że tak. Mój ojciec wolałby mieć trzech synów niż jedną córkę. Nie wiem, czy akurat dlatego dał mi tak na imię, ale być może niezadowolenie, że pierworodną okazała się właśnie córka, miało z tym coś wspólnego.

Pewnie właśnie dlatego odpowiadam pierwsze, co przychodzi mi do głowy:

– Pierdol się.

A potem wychodzę, aby nie znosić krzyków oburzonej Jordie i ciężkiego milczenia tego faceta, z którym przez najbliższe trzy miesiące mam mieszkać pod jednym dachem.

Zapowiada się świetnie.



Rozdział 3.

Cameron

Zostaję w kuchni sam z Jordie, kiedy ta wariatka po prostu nas zostawia, żegnając się krótkim „pierdol się”.

Słodka.

Mniej więcej tak jak sok z cytryny.

Spoglądam na moją przyjaciółkę – była, w zasadzie – i unoszę brew.

– O, Parker robi taką samą minę – śmieje się – kiedy jest oburzona.

Wiedziałam, że się dogadacie!

– Jordan Hope Lane – mruczę. – Nigdy ci tego nie wybaczę.

Jordie przełyka ciężko ślinę i odwraca spojrzenie.

– To nie tak... – mówi słabo, ale ja jedynie wzdycham głęboko i w tej samej chwili do moich nozdrzy dolatuje swąd spalenizny.

Unoszę palec.

– O, Parker też...

– Milcz, Jords.

Odwracam się i sprawdzam, czy na pewno wyłączyłem piekarnik. Nie chciałbym, żeby ta wariatka spaliła mi dom, bo naprawdę potrzebuję się zadekować gdzieś na jakiś czas.

– Marsz na górę – syczę, skupiwszy się na dziewczynie, która wciąż unika mojego spojrzenia.

– Ta-jes... – mamrocze i posłusznie wychodzi z kuchni.

Idę za nią, rozglądając się jeszcze po mieszkaniu podpalaczki hobbystki. Zdążyła się całkiem ładnie zadomowić, jak na to, że jest tutaj ledwie tydzień. W salonie stoją kanapa i fotel uszak (taki jak mój, ale w innym, szarym odcieniu), w rogu czeka pusty jeszcze regał, a obok niego kilka kartonów – chyba z książkami, co wydaje mi się urocze, choć wcale nie chcę tak myśleć o tej dziewczynie. Jednak nic nie poradzę na to, że mam słabość do lasek, które doceniają dobrą literaturę. Sam jestem fanem norweskich kryminałów. W pomieszczeniu dostrzegam też całkiem ładny, czteroosobowy drewniany stół i miękki dywan w jakieś kwiatowe wzory. W dodatku na kanapie leży jakiś tuzin poduszek, a cały wystrój jest utrzymany w pastelowej tonacji.

Stwierdzam, że to kompletnie nie pasuje do tej dziewczyny – spodziewałbym się raczej jakichś ozdób z pajęczyn, trumny w rogu i czarnych ścian – i jestem dziwnie zaskoczony.

Idę za Jordie, która wychodzi z mieszkania, i odtwarzam w głowie pierwsze spotkanie z Parker.

Kilka wniosków nasuwa mi się od razu.

Po pierwsze, laska nie jest mistrzynią dobrego pierwszego wrażenia. Wręcz przeciwnie. Pokazała mi się jako pyskata, szalona, wredna maruda.

Po drugie, chyba należałoby się jej bać, bo ewidentnie ma skłonności psychopatyczne.

Po trzecie, jest piekielnie gorąca.

Po czwarte, patrzyła na mnie tak, że...

Jeśli mam być szczerzy, to miałem ochotę schować się pod jakiś kamień. Parker patrzyła na mnie jak na insekta, którego należy się jak najszybciej pozbyć.

Wróćmy jednak do punktu trzeciego.

Mam dwadzieścia sześć lat i naprawdę spotkałem w życiu wiele kobiet. Przysięgłbym jednak, że żadna z nich nie miała tak ciemnych oczu jak Parker. Są czarne. Dosłownie. Przez to miałem wrażenie, że wpadam w jakąś otchłań – piekielną, co wyszło na jaw, kiedy ta ślicznotka otworzyła usta.

Parker z tą swoją słodką buzią, uroczo zadartym noskiem, pełnymi ustami i brązowymi lokami stanowi zagrożenie – zrozumiałem to w chwili, gdy pierwszy raz na nią spojrzałem.

Dlatego właśnie mam do pogadania z Jordie.

W końcu docieramy do mojej części domu – pustej i cholernie nieciekawej, ale czego można się spodziewać po miejscu, które wynajęłam po to, by się ukrywać.

Rozglądam się po bezosobowym salonie i odwracam w stronę Lane. Ta stoi w wejściu, jakby bała się przekroczyć próg, bo nie wie, co ją tutaj czeka.

I dobrze, niech się boi.

Ma czego.

– Co to ma znaczyć, Jords? – pytam, podpierając się pod boki.

– Jezu, Cam, dlaczego robicie z tego taką aferę? – wybucha i nagle zaczyna krążyć po pokoju, gestykulując żywo i wyrzucając z siebie słowa z prędkością rakiety: – To tylko wspólny dom! Przecież nie organizuję wam ślubu czy coś! Po prostu nie mogłam pozwolić, żeby Parker została sama! Ona nie ma nikogo... – Z jej charakterkiem? Kompletnie mnie to nie dziwi. – A ty jesteś dobrym facetem! Wiem, że się nią zaopiekujesz, Camy.

– A ona? – przerywam jej. – Ugryzie mnie, przeżuje i wypluje kości, Jordie? – pryham.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiada, ale wcale nie brzmi pewnie. – Zresztą poradzisz sobie...

To też nie brzmi ani trochę pewnie.

Szlag.

– Wiesz dobrze, że nie chciałem w swoim życiu żadnych kobiet – cedzę słowa.

– Parker nie jest kobietą! – niemalże wchodzi mi w słowo, na co unoszę brwi i patrzę na nią jak na wariatkę. – To znaczy jest, ale nie dla ciebie. – Kręcę głową. Dlaczego muszę trafiać na same świruski? – A w zasadzie to nie masz jej traktować jak kobiety, Cameron! – grozi, wciskając mi palec w tors. – To przy-ja-ciół-ka – sylabizuje, jakby mówiła do kretyna.

- Przyjaciółka – pryham.
- Serio, Camy! – Jordie robi groźną minę. Wygląda jak wkurzony ratlerek. – Masz trzymać swoją seksowną aparycję z dala od Parker.
- O kogo ty się bardziej martwisz, co?
- Oczywiście, że o ciebie! Parker ugryzie cię, przeżuje i wypłuje! Nawet nie zorientujesz się kiedy!
- Przed chwilą twierdziłaś, że tego nie zrobi.
- Ugh!

Jordan wyrzuca ręce w górę i rusza w stronę wyjścia. Patrzę za nią, oniemiały, kompletnie nie wiedząc, co mam teraz począć.

– Wiesz, jak jest – mówię, chcąc ją zatrzymać. Udaje mi się, więc kontynuuję: – Nie chcę i nie potrzebuję żadnych kobiet w swoim życiu, Jordie. Mam ich dość.

– Super – prycha, zerkając na mnie przez ramię. – Bo Parker to nie-kobieta. Świetnie się dogadacie, Cam. – A kiedy już prawie zamyka za sobą drzwi, słyszę jeszcze: – Teraz idę ją udobruchać, żeby nie zadzgała cię wykałaczką we śnie, a ty, proszę, bądź cicho.

Chwilę później zostaję sam.

I niby czemu mam być cicho, na litość boską?!



Kiedy nadchodzi wieczór, jestem spocony, głodny i zły.

Ale: udało mi się wnieść do mieszkania wszystkie meble – samemu! – i je poustawiać, choć o mały włos przy tym nie zginąłem, kiedy przewrócił się na mnie regał. Uznałem, że wcale nie trzeba wiercić i przykręcać go do ściany. Spoiler alert: trzeba.

Co prawda nie obyło się bez ofiar. Kiedy taszczyłem komodę po schodach, wyleciały z niej wszystkie szuflady i kompletnie się roztrzaskały. Wówczas stwierdziłem, że ten mebel zakończył już swój żywot. Zepchnąłem go z powrotem na dół, a potem rozłupałem na drobne kawałki i wyrzuciłem do koszy stojących tuż pod oknami.

Przy okazji odnotowałem w głowie, by w wolnej chwili zatachać je na tyły domu. Aktualne stoją od frontu i przez to posesja wygląda dość... nieatrakcyjnie, jeśli mam być szczery.

Ta cała przeprowadzka zastąpiła mi dzisiejszy trening, więc kiedy za oknami zachodzi już słońce, po prostu siadam w moim zielonym uszaku i łapię oddech.

Fuj.

Jeden wdech i wiem już, jak śmierdzieć.

Wzdycham ciężko i jednak zbieram dupsko z fotela, by pójść do łazienki. Po drodze zgarniam z kanapy świeże ciuchy – pozbyłem się komody, a gdzieś muszę trzymać ubrania, które w pośpiechu zdołałem zabrać z domu.

Zerkam jeszcze na telefon, by sprawdzić, czy Jordie się odezwała. Miała dać znać, gdy doleci do tego swojego Harvardu. Nie zdążyła wpaść się pożegnać, bo zagadały się z moją sąsiadką i nim się spostrzegła, przyjechała po nią taksówka.

Może to i lepiej.

Nadal mam ochotę ją udusić, więc może dzięki temu mi przejdzie, nim Jordie – jak to napisała w ostatnim SMS-ie – przyleci sprawdzić, czy się nie pozabijaliśmy.

Wchodzę do łazienki i odkładam ciuchy na blat. To pomieszczenie jest na szczęście urządzone, więc przynajmniej mogę wziąć prysznic.

Znaczy...

Mógłbym, gdyby z deszczownicy poleciała cholerna woda.

– Co jest... – mamroczę, szarpiąc za uchwyt baterii. Kompletnie nic to nie daje, więc szarpię mocniej, aż ten niechcący zostaje mi w dłoni. – Kurwa – podsumowuję zaistniałą sytuację.

Na pewno nie położę się do łóżka tak brudny i spocony. Nie ma takiej opcji.

A o tej porze z pewnością nie dodzwonię się do właściciela. Nawet gdyby była taka szansa, to, cholera jasna, nie mam pojęcia, gdzie odłożyłem umowę najmu.

Pięknie.

Uderzam czołem o ścianę, a następnie zrezygnowany wychodzę z kabiny. Wciągam z powrotem moje przepocone spodenki i podejmuję decyzję.

Czas zakopać topór wojenny.

Wzdycham cierpiennie, łapię ciuchy i kieruję się do wyjścia.

Na zewnątrz zdecydowanie czuć już jesienny chłód, ale jestem zahartowany, więc nic sobie nie robię z tego, że przemykam między piętami prawie na golasa.

Pukam do drzwi Parker, ale odpowiada mi cisza.

Mam złe przeczucie.

Przecież ta podpalaczka hobbystka jest gotowa znów usnąć gdzie popadnie i spalić nas doszczętnie.

Naciskam klamkę.

Otwarte.

– Chryste... – mruczę pod nosem.

Jeśli nas nie spali, to pozwoli, by włamał się tutaj jakiś psychol i nas wymordował. Pięknie.

– Parker?! – drę się od progu, ale znów nie uzyskuję żadnej odpowiedzi.

Wchodzę do środka i rozglądam się, ale wszystko wygląda normalnie. To znaczy... nie czyha na mnie żadna psychopatka z siekierą w dłoni – a właśnie taki obraz pojawia mi się w głowie, kiedy myślę o Parker.

Ruszam w głąb mieszkania. Kuchnia jest pusta, sypialnia też – co zauważam tylko dlatego, że drzwi do niej są otwarte na oścież! – a z łazienki nie dobiega mnie żaden dźwięk.

W końcu słyszę jakiś szmer dochodzący z pokoju obok sypialni. Drzwi są zamknięte, więc podchodzę bliżej i przykładam do nich ucho jak rasowy stalker.

– Tak, Jason... – słyszę i zastygam. – O Boże... Proszę.

Cofam się jak oparzony.

A przy okazji potykam o jakiś kwietnik, który przewraca się z hukiem, i lecę na tyłek, krzycząc cicho.

– Co, do kurwy... – jęczę, a w tej samej chwili drzwi do pokoju się otwierają.

Zdążam jedynie dostrzec jakiś statyw z telefonem, nim Parker zamknie je za sobą z powrotem. Stoi nade mną jak jakaś pieprzona Erynia i patrzy tak, jakby chciała mnie zabić. A kiedy dostrzega rozsypaną wokół mnie ziemię z tego cholernego badyła, jej usta poruszają się w bezgłośnym „ja pierdolę”.

A ja... nie mogę wydusić z siebie słowa.

Bo ona...

Parker...

Ona...

– Masz udar czy co?! – warczy. – Co ty tu w ogóle robisz?!

Przesuwam spojrzeniem po jej ciele okrytym cienkim, satynowym szlafrokiem w odcieniu głębokiej czerwieni. Jestem pewny, że nie skrywa pod nim wiele, bo moją uwagę przykuwa jedynie wystająca przy dekolcie koronka. I długie, cholernie seksowne nogi.

– J-ja...

– No kretyn! – krzyczy. – Wynoś się! Ja tu próbuję pracować!

Pracować?!

Do głowy przychodzi mi tylko jedna rzecz i od razu muszę to zweryfikować.

– Jesteś tam sama?

– A myślisz, że z kim, półgłówku? – sarka, opierając ręce na biodrach, przez co szlafrok rozchyła się nieco, odsłaniając więcej koronki.

Chyba właśnie coś umiera w moim mózgu. Jakieś szare komórki czy coś.

– Prze-praszam – dukam.

Pracuje.

Chryste.

Ona... ona nagrywa pornole?! Rozbiera się przed kamerką?! Co ona, do diabła, tam robi?!

– Po co przylazłeś?

Mrugam i wówczas dociera do mnie, że wciąż siedzę na podłodze. Podnoszę się z niej, zbierając przy okazji resztki mojej godności, i czuję, że zaczyna mnie palić twarz.

Jezu.

Po raz pierwszy w życiu zawstydziła mnie dziewczyna.

– J-ja... – Nie potrafię zebrać myśli do kupy.

– Czyli jednak to ty... – wzdycha.

– Co ja?

– Tamten hałas. To ty spadłeś ze schodów. Uderzyłeś się i proszę, oto efekty.

– Czekaj. – Unoszę dłoni i spoglądam na nią z uwagą. – Bałaś się, że spadłem ze schodów, i nawet tego nie sprawdziłaś?

– Wcale się nie bałam – prycha. – Rozwahałam to, ale...

– Ale nawet nie pofatygowałaś się, żeby mi pomóc? Tak... w razie czego?

Parker wzrusza ramionami, jakby naprawdę nie miała żadnych wyrzutów sumienia.

Co za zołza.

– Jesteś... okropna! – mówię z frustracją, używając pierwszego epitetu, który przychodzi mi do głowy.

– Odkrycie roku, naprawdę. No i ten bogaty słownik, po prostu majstersztyk.

Mrugam jak idiota, bo ta laska każdą swoją odpowiedzią zbija mnie z pantałyku.

– Czego tu chcesz, Payne?

Aha. Czyli to ten poziom znajomości, dobrze. Będziemy mówić do siebie po nazwisku, proszę bardzo.

– Chciałem skorzystać z twojej łazienki, Coldy, bo u mnie nie ma wody.

– Nazywam się Coldman – cedzi, piorunując mnie wzrokiem.

– Zimna...

– Nawet tego nie kończ, dupku.

– ...zołza – dopowiadam z szerokim uśmiechem.

– Uważaj, bo jeszcze zranisz moje uczucia – wzdycha teatralnie.

– Najpierw musiałabyś je mieć, królowo lodu.

Nagle się orientuję, że znajdujemy się bardzo blisko siebie. Nawet nie wiem, kiedy zmniejszyliśmy dystans. Dzielił nas dosłownie cale,

aż mogę dostrzec, że oczy Parker nie są całkiem czarne, a po prostu cholernie ciemnobrązowe.

Moja sąsiadka kręci głową i cofa się o krok z cichym prychnięciem.

– Wiesz co? – mówi. – Idź się utop w mojej wannie, tylko daj mi spokój. – Dla podkreślenia dramatyzmu wyrzuca ręce w górę. Wariatka. – Ale. Masz. Być. Cicho – akcentuje wyraźnie każde słowo. – Niektórzy próbują się skupić!

Mrużę oczy.

No nie, ta laska naprawdę sama się prosi.

– Och, jeśli musisz się skupiać, to najwyraźniej słabo ci idzie.

Parker warczy – dosłownie – a następnie... po prostu się odwraca i trzaska mi przed twarzą drzwiami do tamtego pokoju.

W korytarzu zapada cisza, a mój wzrok pada na lustro wiszące tuż obok futryny. Widzę w nim swoje odbicie.

I swój uśmiech.

Cholera jasna.

Uśmiecham się przez Parker Coldman.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

*Kiedy największa zotza musi zamieszkać z najwesejszym facetem
na świecie... wszystko może pójść nie tak.*

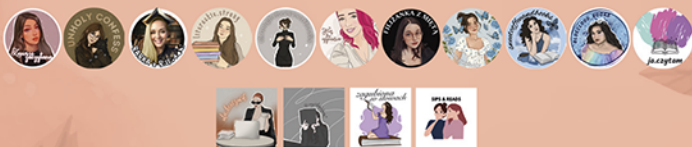
Parker, jesieniara i miłośniczka cmentarnego vibe'u, miała wynająć dom ze swoją najlepszą przyjaciółką i zacząć nowy etap życia. Dzień przed przeprowadzką zostaje jednak wystawiona, a przez to musi zamieszkać z niejakim Cameronem, który okazuje się hałaśliwym i irytująco pogodnym mięśniakiem. O konflikt nietrudno, tym bardziej że Parker potrzebuje ciszy, by nagrywać swoje ukochane ASMR-y, a Cameron...

Cóż, według dziewczyny jej nowy współlokator nawet oddycha zbyt głośno.

Gdyby tego było mało, świeżo upieczeni współlokatorzy w wyniku niefortunnego zrządzenia losu muszą udawać parę, a sam Cameron ukrywa przed Parker więcej, niż można by przypuszczać.

**Komedia omyłek, jesienny klimat, kilka zniczy, kalistenika
i cała masa ASMR-owych dźwięków – oto historia, która pochłonie
Was podczas długich wieczorów pod kocem.**

Patroni medialni:



👉 CUTE
👉👉 SENSUAL
👉👉👉 SPICY
👉👉👉👉 DARK

editio
RED
EDITIO.PL

+18

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-289-2808-4



9 788328 928084

cena: 54,90 zł